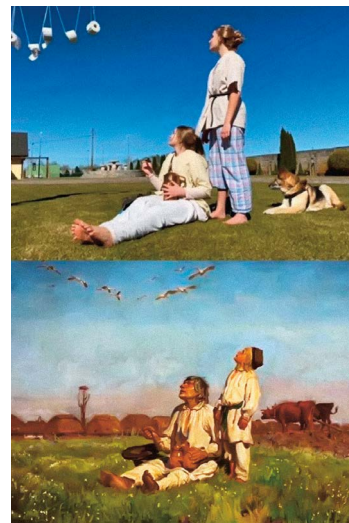


- 13 Medycy w opresji
- 16 Manewry Kosiniaka-Kamysza
- 19 Zakręty Gowina
- 28 Zdalne studia
- 38 Lato bez wakacji
- 59 Śledztwo w sprawie chlorochiny
- 86 Kuba Sienkiewicz: piosenkarz bez koncertów, lekarz bez pacjentów
- 100 Drugie życie żywych obrazów



Tematy tygodnia

- 10 Łukasz Wójcik **Jak wrócić z pandemii**
- 13 Katarzyna Kaczorowska, Paweł Reszka **Lekarze pod prężierzem**

Polityka

- 16 Malwina Dziedzic **Plan Kosiniaka**
- 19 Anna Dąbrowska, Wojciech Szacki **Co robi Gowin**
- 22 Ewa Siedlecka **Codzienny stan nienadzwyczajny**
- 25 ROZMOWA POLITYKI
Prof. **Agnieszka Golec de Zavala**
o tym, jak wirus zmienia postawy polityczne i społeczne

Spółeczeństwo

- 28 Joanna Cieśla **E-studia, czyli eksperyment na studentach**
- 32 Agnieszka Sowa **Zwierzęta bez wsparcia**
- 35 Mariusz Sepiolo **Kamerki w każdym domu**

Rynek

- 38 Adam Grzeszak **Najdziwniejsze wakacje w historii**
- 41 Czym obecny kryzys różni się od poprzednich, mówi ekonomista dr **Sławomir Dudek**

- 44 Joanna Solska **Sezon na kurierów**
Świat

- 46 Wiktoria Bielaszyn **ROSJA Wielka inwigilacja**
- 49 Jędrzej Winiecki **Czy przyjdzie głód**
- 52 Edyta Gietka **USA Rozmyślania lekarza z Manhattanu**
- 54 Tomasz Targański **Globalna walka o maseczki**
Nauka i cywilizacja

- 56 Wojciech Mikołuszko **Korytarz dla rysia**
- 59 Marcin Rotkiewicz **Cudowny lek na COVID?**
- 62 Adam Krzemiński **Zmutowane teorie spiskowe**
- 65 Agnieszka Krzemińska **O odporności naszych przodków**



Historia

- 68 Łukasz Mieszkowski **Skąd pochodziła hiszpanka**
- 72 Tomasz Targański **Bojkot Boycotta**

- 76 NAGRODY HISTORYCZNE
Tegoroczne nominacje
Kultura

- 82 Łukasz Najder **Klasa średnia po apokalipsie**
- 85 KAWIARNIA LITERACKA
Mikołaj Łoziński
- 86 Rozmowa z **Kubą Sienkiewiczem**, neurologiem i liderem zespołu Elektryczne Gitary
- 89 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
- 90 Justyna Sobolewska **Literatura o podróżach**
- 92 Aneta Kyzioł **Nowe radiowe stacje internetowe**
- Na własne oczy**
- 100 Piotr Sarzyński **Galerie w kwarantannie**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
- 5 Ludzie i wydarzenia
- 78 Afisz • 94 Chutnik i Plebanek
- 95 Passent • 96 Hartman • 97 Tym
- 98 Mizerski na bis • 99 Do i od redakcji
- 106 Polityka i obyczaje

Połącz się
z dedykowaną
infolinią:



22 484 84 84
732 122 500

Koszt połączenia zgodny z cennikiem operatora



Tarcza Antykryzysowa

Ruszyły miliardy złotych
na ochronę miejsc pracy

Nie ma wolności bez godności. W tych trudnych czasach, postawiliśmy sobie jeden cel gospodarczy: **zachować jak najwięcej miejsc pracy i uratować jak najwięcej polskich firm.** Sprawne państwo musi być państwem wrażliwym społecznie. Zwłaszcza dzisiaj.

Tarcza Antykryzysowa

po 3 tygodniach



1 500 000

złożonych wniosków o wsparcie



1 mln firm

zawnioskowało o zwolnienie
ze składek ZUS



900 000

miejsc pracy pod ochroną
Tarczy Antykryzysowej



820 mln zł

wypłaconych na ochronę
miejsc pracy



250 000

samozatrudnionym przyznano
świadczenie postojowe



170 000

pracowników otrzyma
dofinansowanie pensji

Już za chwilę!

100 mld zł z Tarczy Finansowej PFR

- Subwencje dla firm zatrudniających już od 1 pracownika
- Nieoprocentowane
- Umorzenie do 75%
- Na oświadczenie
- Czekamy tylko na akceptację ze strony Komisji Europejskiej.



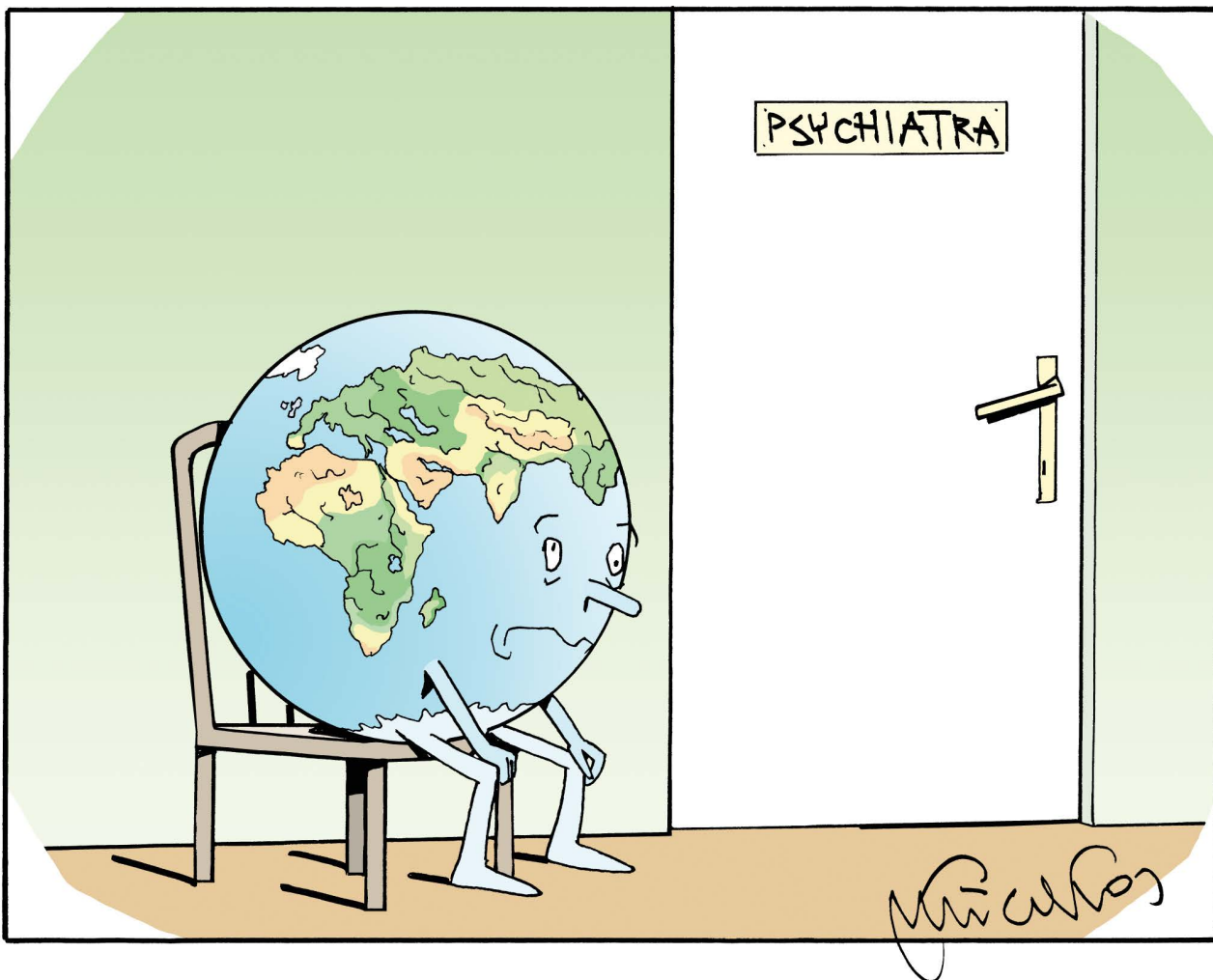
Sprawdź, jak Tarcza Antykryzysowa może pomóc Tobie: gov.pl/tarczaantykryzysowa



KPRM



Tarcza
Antykryzysowa



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Cuda wodorosty

Depresyjną nudę związaną z narzuconą nam społeczną izolacją rozwiązała niedawno informacja o cudzie w domu seniora w podwarszawskim Ruści. Jak poinformowała dyrektorka placówki, cud polegał na tym, że najpierw 27 podopiecznych miało pozytywny wynik testu na koronawirusa, a pięć dni później, po ponownym wykonaniu testów, wszyscy mieli wynik negatywny. Lekarze tłumaczą, że ci podopieczni po prostu byli chorzy i wyzdrowieli albo testy były wadliwe, ale niektórym osobom wierzącym wydaje się to mało prawdopodobne. Uważają, że nie ma sensu szukać na siłę naukowych wyjaśnień tam, gdzie jedynym logicznym wyjaśnieniem jest interwencja boska. Zgadzam się, że w obecnej sytuacji cuda są bardzo potrzebne, ale z drugiej strony trudno liczyć wyłącznie na nie. Cud raz się zdarza, a innym razem nie, dlatego trzeba, niestety, stawiać także na rozwiązania stricte medyczne, mimo że narosło wokół nich wiele mitów i nieporozumień. Np. takie, że wynalezienie leku na koronawirusa wymaga miliardów euro, miesiące żmudnych badań i wysiłku tysięcy naukowców, gdy tymczasem taki lek może w zasadzie za darmo wynaleźć każdy. Przekonuje o tym przypadek pana Dorniaka, mieszkańca Żukowa na Pomorzu, któremu, jak czytam, już 10 lat temu udało się sporządzić lek na COVID-19 z wodorostów.



O skuteczności leku świadczą nie tylko zapewnienia pana Dorniaka, że jest on skuteczny, ale także fakt, że pan Dorniak jest członkiem pomorskiego zarządu PSL i na wielu zdjęciach występuje razem z prezesem Kosiniakiem-Kamyszem, który – jak wiadomo – jest lekarzem. Na korzyść wynalazcy z Żukowa przemawia również to, że w ostatnich wyborach kandydował z ramienia PSL do Sejmu. Tym razem się nie dostał, ale uważam, że demokracja pod rządami PiS zmierza w takim kierunku, że w przyszłości osoby pomyślowe, o takim potencjale jak pan Dorniak, powinny się bez trudu dostawać do Sejmu, do Senatu, a także – miejmy nadzieję – do Ministerstwa Zdrowia i NFZ, gdzie zastąpią tych, którzy nie mają żadnych pomysłów.

Firmy farmaceutyczne nie są metodą peeselsowskiego wynalazcy zainteresowane, bo podobno jest za tania i nie daje szans na potężne zyski. Uważam, że brak zdecydowania firm farmaceutycznych Dorniak powinien wykorzystać w celu zainteresowania lekiem prezesa PSL, zanim łapę na wynalazku położy PiS. Nie można zresztą wykluczyć, że Kosiniak-Kamysz już się preparatem zainteresował. Moim zdaniem deklaracja szefa ludowców, że zamierza wystartować w wyborach organizowanych w samym środku epidemii przez ministra Sasina oraz Poczta Polska, a także sugestia, że pokona w tych wyborach Andrzej Dudę, mogą świadczyć o tym, że przyjął już kilka silnych dawek.

Iść albo nie iść



Jerzy Baczyński

Wciąż prawie 70 proc. Polaków twierdzi, że nie zamierza brać udziału w zapowiadanych na maj korespondencyjnych wyborach prezydenta; 60 proc. (badania SWPS) oczekuje wprowadzenia stanu nadzwyczajnego i przesunięcia głosowania na jesień lub przyszły rok. Różne sondaże od wielu tygodni dają podobne wyniki: epidemia i związane z nią restrykcje kompletnie zdeorganizowały nam życie, wepchnęły w stan izolacji, tymczasowości, egzystencjalnego lęku o przyszłość. W tym roku nie będzie ani tradycyjnej majówki, ani normalnych matur, ani wakacji i w ogóle nie wiadomo, co będzie, kiedy To się skończy. Na dodatek epidemiolodzy ostrzegają, że wciąż jesteśmy przed apogeum zachorowań. Ludzie wyraźnie nie chcą, żeby im teraz zwracać głowę polityką.

Sto razy pisaliśmy, że formalne wprowadzenie stanu klęski żywiołowej – z czym literalnie mamy do czynienia – pozwoliłoby rozwiązać problem wyborów: legalnie przedłużyć kadencję Andrzeja Dudy, dając także czas na porządne przygotowanie ewentualnych – gdyby epidemia się utrzymywała – korespondencyjnych lub zdalnych głosowań. Dokładnie na takie okoliczności znalazł się w konstytucji cały rozdział o stanach nadzwyczajnych. A jednak brniemy w szalony scenariusz pocztowego głosowania. Sami wiemy przez kogo i dlaczego.

Polityczna kalkulacja Jarosława Kaczyńskiego jest tak oczywista, że aż obezwładniająca. Co więcej, przy jego determinacji i kompletnym lekceważeniu prawa właściwie jest tylko jeden, dość kręty, sposób, aby te majowe wybory zablokować: porozumienie opozycji w Senacie, potem porozumienie z Jarosławem Gowinem, następnie porozumienie Gowina z większością własnej partii, o wdzięcznej nazwie Porozumienie, następnie wspólne głosowanie w Sejmie. Uff. Każde ogniwo tego łańcuszka może pęknąć. A i Jarosław Kaczyński nie byłby sobą, gdyby się na wariant „zdrady Gowina” nie przygotował. Pojawiają się tu różne scenariusze (odsylam do tekstu Ewy Siedleckiej na s. 22), nie wykluczając ogłoszenia stanu wyjątkowego, zatwierdzonego przez internetowy Sejm w nocnym głosowaniu.

Znowu trzeba napisać: uff! Wszystko, co się teraz dzieje w związku z kopertowymi wyborami, wskazuje, że prezes PiS sam jest w jakimś stanie nadzwyczajnym: głuchej desperacji, nieobliczalności, psychicznej izolacji. Więc, w zasadzie, możliwe jest wszystko: i dopchnięte kolaniem kadłubowe wybory, i jakaś forma zamachu stanu, ale i to, że Kaczyński w ostatniej chwili cofnie się i jak gdyby nigdy nic, zaakceptuje odłożenie wyborów. Pytanie, jak się w tej sytuacji mamy – elektorat opozycji – zachować? Wziąć jednak udział w głosowaniu, gdyby do niego doszło, czy zbojkotować?

Argumenty za i przeciw są od tygodni obracane w każdą stronę. Najkrócej: „za” głosowaniem przemawia bardzo silna emocja i ambicja, żeby nie oddawać pola walkowerem; że Kaczyński ma gdzieś nasz bojkot, a nawet się z niego ucieszy; Duda wybrany przy 30-procentowej frekwencji będzie i tak ogłoszony prezydentem RP, a z czasem nawet zagranicą się z tym i z nim pogodzi. Racje przeciw są równie oczywiste: w maju nie będzie żadnych wyborów, co najwyżej sprzeczne z konstytucją (były szef PKW: „bezwprawie, które nie mieści się w głowie”) niezborne głosowanie, pozbawione atrybutów powszechności, tajności, równości, łatwe do sfalszowania na każdym etapie – od przewożenia pakietów, przez niekontrolowalne liczenie

głosów, do ogłoszenia wyników. Słowem: farsa. Najlepiej byłoby oczywiście, gdyby opozycja parlamentarna dogadała się z Gowinem (polecam analizę Mariusza Janickiego w polityka.pl), choć na razie też nie wiadomo, w jakiej sprawie. Na stole są cztery główne opcje: proste weto senackie wobec „ordynacji pocztowej”; poprawiona technicznie ustawa z np. trzymiesięcznym vacatio legis; zmiana konstytucji i wybory następcy Dudy za dwa lata; stan klęski żywiołowej i wybory za rok lub jesienią (dwa ostatnie warianty wymagałyby „współpracy z Kaczyńskim” – oksymoron). Co wyjdzie, dowiemy się zapewne dopiero 7 maja, kiedy odbędą się sejmowe głosowania. I wtedy trzeba będzie zresetować polityczne zegary.

Pytanie – udział czy bojkot? – dotyczy sytuacji, gdyby nie udała się wspomniana „seria porozumień” i doszłoby do wyborów 17 lub 23 maja (data 10, wydaje się niemożliwa, nawet przy złamaniu przez Sasina także praw ciężenia). Już wiemy, że wspólnego bojkotu nie będzie: udział w wyborach, bez względu na ich formę, zapowiedzieli Kosiniak-Kamysz (dlaczego – piszemy na s. 16), Biedroń i Hołownia. Smutne, że tzw. opozycja demokratyczna nie potrafiła wypracować wspólnego w tej sprawie stanowiska. Nie pomogło, niestety, przedwczesne, nieomówione z innymi kandydatami (choć moralnie w pełni zrozumiałe), wezwanie do bojkotu wyborów przez Małgorzatę Kidawę-Błońską. Kampania kandydatki rozsypała się, prowokując pozostałych kandydatów opozycyjnych do pozostania w grze i zbierania wyborców porzuconych przez KO/PO.

Teraz elektorat centrowy jest już tak bardzo zniechęcony, tak zdemobilizowany, że nawet ostre i jednoznaczne wezwanie – jednak idziemy i walczymy! – słabo skutkuje. Ale jeśli – to takiemu apelowi powinno towarzyszyć jakieś dodatkowe uzasadnienie, np. zapowiedź społecznej kontroli wyborów, wezwanie do gromadzenia dowodów nadużyć, instrukcje zaskarżania „usługi pocztowej” przed Sądem Najwyższym. To nic, że po mianowanych przez PiS sędziów SN trudno spodziewać się unieważnienia wyboru Dudy; ale są jeszcze instytucje międzynarodowe, media, opinia publiczna – ta awantura musi zostać skompromitowana przed całym światem.

Podobnie bojkot (o jego formach piszemy na s. 72) tylko wtedy nabiera wagi, gdy staje się także teatrem, wpływa na masowe emocje i opinie. Inaczej ma jedynie sens prywatny, etyczny, nie polityczny. Dobry bojkot wymaga aktywności i pomysłowości: można np. apelować do demokratycznych rządów o nieuznawanie wyboru Andrzeja Dudy; można robić happeningi (Obywatele RP zapowiadają np. publiczny akt niszczenia kart), akcje internetowe itd. Więc, w sumie, mniej ważne, czy uczestniczyć, czy nie w „wyborach”, których nie można wygrać? Ważne, jaki będzie dla PiS koszt tej hecy i czy politycy centrum potrafią, jak to kiedyś robił PiS, zmienić poczucie krzywdy i złość swojego elektoratu w polityczną energię. Szczegzerze mówiąc, nie sądzę. Ale jeśli Duda zostanie w maju „ukoronowany” na prezydenta, można powiedzieć „krzyż mu na drogę”. Miliony centrowych wyborców nie znikną i może czas najwyższy, aby zaczęła się wreszcie formować polityczna reprezentacja, na jaką zasluguje.

Jan Koza



Dylemat Antygony

Ewa Siedlecka

Sędziowie Sądu Najwyższego odpuścili walkę o wybór nowego Pierwszego Prezesa. Walkowerem. Mimo że sędziowie sądów powszechnych pokazują im drogę wyjścia. Sędziowie SN mają wybór: podporządkować się złemu prawu i poddać Sąd Najwyższy partii rządzącej albo sprzeciwić się mu, ryzykując szkany i spotęgowanie chaosu w wymiarze sprawiedliwości. Dylemat Antygony.

Odium kapitulacji spadło na prezes Małgorzatę Gersdorf.

To ona nie zwołała Zgromadzenia Ogólnego Sędziów SN koniecznego do wyboru kandydatów, spośród których prezydent ma wskazać jej następcę. Kadencja Gersdorf kończy się w czwartek. Prezes tłumaczy się troską o zdrowie sędziów i pracowników sądu. Jednak prezes Trybunału Konstytucyjnego Julia Przyłębska nie wykażała się podobną troską i TK w pełnym składzie orzekł tydzień temu – w maseczkach.

Ale nie oszukujmy się: prezes Gersdorf zwołałaby Zgromadzenie Ogólne, gdyby taka była wola większości czy choćby części sędziów. A sędziowie nie chcą wybierać kandydatów na prezesa, bo według pisowskich przepisów przy udziale w Zgromadzeniu sędziów mianowanych z udziałem neoKRS nie ma możliwości, aby jeden z kandydatów nie pochodził od nich. I to jego wskazałby prezydent. „Starzy” sędziowie mówią, że nie chcą przyłożyć ręki do takiej ustawki.

Można to zrozumieć. Ale sędziowie sądów powszechnych, którzy swoją walkę o niezależność m.in. Sądu Najwyższego przypłacili szukaniami, rzucili sędziom SN linę: wnieśli do Izby Pracy SN pozwy o ustalenie, że neosędziowie SN nie mają statusu sędziów. I wnioski

o zabezpieczenie tymczasowe: chodzi o zawieszenie statusu tych sędziów do czasu osądzenia sprawy (sędziowie Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Izby Dyscyplinarnej są w tej chwili zawieszeni tylko w orzekaniu). Nie mając statusu sędziów, neosędziowie SN nie mogliby brać udziału w Zgromadzeniu Ogólnym.

Ale Izba Pracy nie wyznacza terminów rozpatrzenia wniosków o zabezpieczenie. A gdy prezes Gersdorf skończy kadencję, prezydent wyznaczy „komisarza” do tymczasowego zarządzania sądem.

Ośmiu tuzów polskiego sądownictwa, w tym sześciu byłych sędziów TK, były prezes Izby Cywilnej SN Tadeusz Ereciński i były Pierwszy Prezes SN Adam Strzembosz skierowali bezprecedensowy apel do „Koleżanek i Kolegów” z Izby Pracy SN, aby zrobili wszystko, co prawem dopuszczalne, by Sąd Najwyższy mógł niezależnie wykonywać swoje zadania.

Podjęcie tego wyzwania: zawieszenie statusu neosędziów, a następnie wybór pięciu kandydatów dla prezydenta bez ich udziału oznaczałaby otwartą wojnę z władzą. Prezydent nie użyłby tych wyborów i wprowadziłby komisarza. Sędziowie SN musieliby wypowiedzieć mu posłuszeństwo i uznać, że Sądem Najwyższym kieruje najstarszy wiekiem prezes izby SN. Nastąpiłaby dwuwładza: neosędziowie słuchaliby komisarza, starzy sędziowie (pytanie: czy wszyscy?) – najstarszego prezesa izby. Można tylko próbować sobie wyobrazić, jaki chaos by to oznaczało.

Przed takim scenariuszem cofnęli się swojego czasu „starzy” sędziowie TK. Widzimy, jak się to skończyło – nie było to „mniejsze zło”. Gdyby sędziowie SN podjęli walkę, w sukurs mógłby im przyjść TSUE, uznając, że polskie władze nie wykonały właściwie jego postanowienia o tymczasowym zawieszeniu Izby Dyscyplinarnej. Ale woli walki w nich nie ma. Sąd Najwyższy przejdzie do zasobów obozu władzy.



© PIOTR MALCZESKIEAST NEWS

Rospuda-bis

Kiedy polskie miasta marzą o budowie obwodnicy, jest jedno, które ma odwrotne marzenie. To... **Augustów**. To samo miasto, które kilkanaście lat temu było ogólnopolskim symbolem walki mieszkańców z zalewającą ich falą tirów. To właśnie pod Augustowem rozgrywały się słynne bitwy działaczy ekologicznych z drogowcami, gdy ówczesny premier Jarosław Kaczyński nakazał, aby nie zważając na przepisy środowiskowe, budować obwodnicę przez dolinę rzeki Rospudy. Naruszenie obszaru Natura 2000 doprowadziło do interwencji Brukseli i budowę trzeba

było przerwać. Ostatecznie trasę zmieniono i dziś sznur tirów zmierzających na Litwę dużym łukiem omija Augustów.

Dlatego augustowianie przerazili się, kiedy dowiedzieli się, że tiry powrócą. Miasto ma pecha, że leży na rozwidleniu dwóch dróg krajowych – ósemki i szesnastki. DK8 omija dziś od zachodu obwodnicą miasto i prowadzi do granicy z Litwą w Budzisku. Ale DK16 nadal przechodzi przez Augustów, a potem przez Puszcę Augustowską do drugiego przejścia z Litwą w Ogrodnikach. Ta trasa jest dziś niedostępna dla wielkich ciężarówek, bo nie została dostosowana do wymaganej przez unijne przepisy nośności. Jednak Polska ma

obowiązek przebudować drogi, a tym samym udostępnić przejazd przez Augustów aż do Ogrodnik. To jest zresztą polityczny projekt PiS zwany Via Carpatia, trasy wiodącej z Litwy przez Białystok, Lublin, Rzeszów na Słowację.

GDDKiA szykuje się do budowy, bo augustowska inwestycja znalazła się na rządowej liście 100 obwodnic obiecanych przez premiera Morawieckiego. Idea jest taka, by wschodnią obwodnicę Augustowa odsunąć od zabudowań i poprowadzić krótką trasą przez las otulający miasto. Burmistrz Augustowa nie zgadza się na to. Domaga się, aby obwodnica została poprowadzona dużym łukiem od wschodu, omijając miasto oraz jego największe atrakcje: jeziora Sajno, Białe i Studzieniczne.

Grupa lokalnych działaczy, pod wodzą byłego burmistrza, zawiązała komitet i domaga się całkowitej rezygnacji z otwierania dla ciężkiego ruchu trasy przez Puszcę Augustowską. Są przekonani, że pośpiech, w jakim prowadzone są przygotowania, nie wynika z potrzeb gospodarczych, ale militarnych. Chodzi o zapewnienie północnej flance NATO dodatkowego korytarza transportowego. GDDKiA tego nie potwierdza. Na razie w powietrzu wisi wojna z działaczami ekologicznymi, którzy zapewne będą bronić bezcennych środowiskowo terenów puszczy i zabytkowego Kanału Augustowskiego. Czekaj na Rospuda-bis. (AG)

Nasza Australia, polska Notre Dame

Okatastrofalnych skutkach trwającego tygodni pożaru w Biebrzańskim Parku Narodowym wiadomo już dużo i należy oczekiwać kolejnych kiepskich wiadomości. Napłyną, gdy przyrodnicy przyjrzą się bliżej pogorzelisku. Wypalanie traw skończyło się spalaniem kilku tysięcy hektarów łąk, turzycowisk i lasów. Niewykluczone, że gdzieś niedaleko tli się także torf, co by oznaczało, że zaczął się „podziemny” pożar przesuszonych bagien, kosztownie trudny do ugaszenia.

Ogień dotknął najbardziej zmieniony przez ludzi fragment parku, ale mimo prowadzonej tam od czasów zaborów melioracji i wielowiekowej działalności rolniczej, to wciąż skarb. Mozaika prawdziwej dzikości i wytworów łagodnej antropopresji, które wspólnie na tworzącym się od kilkunastu tysięcy lat torfowisku uformowały wciąż od ludu i bezdrożny ekosystem, ewenement w skali Europy. Są gatunki, które właśnie w dolinie Biebrzy znajdują najważniejsze siedlisko w UE. Dla szeregu ptaków to oaza bagiennej spokoju, kluczowe miejsce odpoczynku podczas podróży między cieplejszymi krajami a daleką północą. Biebrza jest dziś przyrodniczym odpowiednikiem paryskiej Notre Dame, która paliła się w połowie kwietnia zeszłego roku. Niektórzy mówią, że to też nasza Australia, gdzie niedawno szły z dymem lasy i busz.

Specjaliści, trochę dla pocieszenia, zwracają uwagę, że nawet na w pełni naturalnych bagnach ma prawo dojść do pożaru. Zwłaszcza o tej porze roku ma się tam co palić – nie brakuje suchych jak wiór fragmentów roślin. Tyle że ogień powinien mieć ograniczoną powierzchnię i zatrzymać się na rozlewiskach. W tym roku, po beżśnieźnej zimie i wiosnie bez deszczu, na Biebrzy ich brak, więc pogorzelisko rozciągnęło się na kilkanaście kilometrów. Spopielony obszar jednak szybko się zazieleni, już niebawem po pożarze nie będzie śladu, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Nie sposób przewidzieć, jak zregenerują się wypalone przestrzenie, a do jakiego stopnia się zdegenerują – czy np. unikalne turzycowiska



nie porosną banalną w ich przypadku trzciną, osiką lub brzozą.

Biebrzy tak żal, bo tej wielkości jest jedyna; w Polsce zostało kilkanaście procent dawnych bagien. Przesuszone doliny m.in. Noteci, Bzury, częściowo Narwi, a także setek mniejszych rzek, rzeczek i strumieni. Ich rzeź trwa, również za unijne pieniądze.

Jakby tego było mało, obecny rząd w ramach walki z suszą, ale i rozwijania żegluga śródlądowej chce rzeki grodzić tamami, spiętrać i prostować im koryta. Znaczą bagien łapią się za głowę. Cierpliwie tłumaczą, że to przepis na pogłębienie suszy i deficyt wody, trzeba postępować odwrotnie, nie niszczyć, a co się da – renaturalizować. Tak jest lepiej dla klimatu i różnorodności biologicznej. I taniej – choćby dlatego, że kosztowny zbiornik zaporowy magazynuje tyle wody, ile torfowiska likwidowane jego budową.

Skoro schniemy, to za chwilę będziemy pewnie doświadczać tego, co południe Europy lub Australijczycy. Pytanie, czy nie warto pomyśleć o doposażeniu straży pożarnej w duże samoloty gaśnicze. Nad Biebrzą samolotów i helikopterów uczęszczają Lasy Państwowe, ale to maleńkie maszyny, a nie latające cysterny. Gdybyśmy je mieli, strażacy pewnie sprawniej radziliby sobie z ogniem tak rozległym jak nad Biebrzą. I może nie musieliby prosić w publicznej zbiorce o motopompy, latarki i tłumice, służące do ręcznego gaszenia pożaru. (JW.)

Spirit of Poland

Joanna Solska

Polacy coraz częściej sięgają po spirytus rektyfikowany, a wzrostem popularności tego 96-proc. alkoholu w polskiej dzielnicy Brooklynu Greenpoint zainteresowały się nawet tak poważne gazety, jak „The Wall Street Journal”. Powodem brania, jakim cieszy się nasz spirytus, nie jest jednak nagły wzrost jego spożycia, ale brak środków odkażających. Niestety, nie tylko na Greenpoincie. Spirytus rektyfikowany, nadający się do spożycia przez ludzi i sprzedawany w sklepach monopolowych, nieco tylko rozcieńcza się wyciągiem z aloesu i używa do odkażania rąk, klamek, poręczy itp. Uważa się, że zabija każdego wirusa.

Gdyby rzecz dotyczyła tylko polskiej dzielnicy w Stanach Zjednoczonych, można by ją potraktować jako ciekawostkę zwiastującą najwyższy wzrost niewielkiego eksportu polskiego alkoholu. Zwłaszcza że akcyza na alkohol w USA jest sporo

niższa niż w Polsce. Tymczasem w Polsce także odkażamy się spirytusem rektyfikowanym, ale już za sporo większe pieniądze niż Polonia. Polski rząd najwyraźniej postanowił na koronawirusie zarobić, a także dać taką możliwość firmom kontrolowanym przez państwo.

Mija drugi miesiąc, odkąd rząd i lekarze namawiają nas do intensywnego odkażania, ale środków odkażających ciągle brakuje. Nie tylko zwykłym klientom, ale nawet szpitalom oraz domom pomocy społecznej. Podstawowym surowcem do ich produkcji jest bowiem alkohol, najlepiej spirytus. Powinien być skażony – w przeciwnym razie z powodu akcyzy będzie bardzo drogi. Według Witolda Włodarczyka ze Związku Pracodawców Polski Przemysł Spirytusowy samo wyprodukowanie litra spirytusu kosztuje nie więcej niż 10 zł, ale akcyza za litr wynosi aż 80 zł.

Produkcja płynów odkażających jest mało skomplikowana. Od momentu wybuchu pandemii bardzo chciałyby je wytwarzać pozbawione dochodów polskie firmy kosmetyczne, ale Ministerstwo Finansów nie

wydaje im zgody na skażenie spirytusu pod pełnym nadzorem i z zachowaniem wszelkich środków uniemożliwiających oszustwa podatkowe. Więc odkażalników chroniących skórę naszych rąk nieustannie brakuje. Są natomiast płyny biobójcze, produkowane przez kontrolowane przez państwo spółki Orlen, Lotos czy KGHM, które państwo regularnie z akcyzy zwalnia. Wprawdzie konsumenci uważają, że te środki bardzo niszczą skórę, ponieważ przeznaczane są raczej do odkażania poręczy, szafek czy innych przedmiotów, ale nie mają wyboru. A Orlen i inni koszą kasę, ponieważ żadna konkurencja nie zmusza ich do obniżania ceny.

Kosi także budżet, gdyż Polacy w kraju, podobnie jak na Greenpoincie, chcąc nieco oszczędzić ręce, kupują spirytus nieskażony, obłożony potężną akcyzą, uzupełniają go aloesem i używają jako środka odkażającego. Gdyby żele czy płyny produkowane były przez profesjonalne firmy, nie tylko nie szkodziłyby naszym dłoniom, ale też byłyby o wiele tańsze. Jednak państwo, które deklaruje, że będzie ścigać spekulantów, próbując się obłowić na pandemii, zachowuje się identycznie jak oni.

COVID-19, TYDZIEŃ DWUDZIESTY DRUGI

NADAL PONAD 4,5 MLD OSÓB ZE 110 KRAJÓW MA ZALECENIE POZOSTANIA W DOMACH.

Według danych gromadzonych przez Johns Hopkins University (w niedzielę, 26 kwietnia) w 210 państwach i terytoriach grupa zarażonych koronawirusem zbliża się do 3 mln, a liczba ofiar śmiertelnych przekroczyła 200 tys., z czego 90 proc. przypada na Europę i USA. Ciągłe najszybciej epidemia rozwija się w USA, gdzie zanotowano już 950 tys. przypadków i śmierć ponad 52 tys. osób. Najtrudniejsza jest sytuacja w stanie Nowy Jork, gdzie zmarło blisko 17 tys. osób. Badania zlecone przez gubernatora Cuomo (na próbie 3 tys. osób) wykazały, że 21,2 proc. nowojorczyków zostało już zarażonych wirusem, wielu bezobjawowo, i ma przeciwciała. Po niefortunnej wypowiedzi prezydenta Trumpa, żeby jako lekarstwo stosować popularne środki dezynfekcyjne (później tłumaczył, że to był „sarkazm”), jego codzienne konferencje prasowe zostały zawieszone.

Na Europę przypada 7 z 10 najbardziej dotkniętych państw. W czterech liczba ofiar przekroczyła 20 tys., choć wszędzie pojawiają się pozytywne oznaki. Nadal najciężej doświadczane są Włochy – blisko 200 tys. zachorowań i 26,5 tys. ofiar śmiertelnych (ale ich dzienna liczba szybko spada). Premier Giuseppe Conte ogłosił

czterostopniowy plan wychodzenia z kwarantanny i rozruchu przemysłu; pod koniec maja mają nawet ruszyć bary i restauracje. 150 tys. osób zostanie wyrzutowo poddanych testom na przeciwciała. Hiszpania ma najwięcej przypadków: 250 tys. zarażonych i 23,5 tys. zmarłych. Pozytyw: wyzdrowień jest więcej niż nowych zachorowań. Tu plan wychodzenia z najsurowszej wersji kwarantanny jest najskromniejszy: będzie można wyjść z domu na spacer, także dzieci (na godzinę dziennie i na kilometr od domu).

Francja przekroczyła 162 tys. chorych, a Niemcy 158 tys., a ofiary śmiertelne to odpowiednio 23,5 tys. i 6 tys. Francuzi, jako nieliczni, uwzględniają zgony w domach opieki (według szacunków WHO przypada na nie w Europie połowa przypadków śmierci). Po tym jak rozeszy się pogłoski, że palacze są bardziej odporni na infekcję, ograniczono tu zakup plasterków i pastylek zawierających nikotynę, aby ludzie nie zatruli się jej nadmiarem. Szybko rośnie epidemia w Wielkiej Brytanii – 152 tys. zarażonych i 21 tys. zmarłych (uwzględniane są tylko zgony w szpitalach), a po udanym leczeniu premier Johnson wrócił do pracy. Także w Turcji – ponad 110 tys. przypadków i 2,8 tys. ofiar śmiertelnych (która to liczba jest podważana).

Groźna jest sytuacja w Iranie: ponad 90 tys. zachorowań i 6 tys. zmarłych.

Wszędzie tam epidemia przybrała większą skalę niż w Chinach, gdzie się zaczęła (oficjalnie: 84 tys. zachorowań). Od tygodnia nie zgłoszono tam ani jednego przypadku śmierci, podobnie jak w Korei Płd. Szybko rozwija się epidemia w Rosji: 75 tys. chorych, z czego połowa w Moskwie, gdzie dodatkowo ograniczono ruch samochodowy. Liczba przypadków śmiertelnych, uznana za zaniżoną – niecałe 700. W Brazylii zanotowano 62 tys. przypadków i 4,1 tys. ofiar; w Kanadzie: 46,5 tys. i 2,5 tys., w Belgii: 46 tys. i 7 tys. (gdzie, po wliczeniu pensjonariuszy domów opieki, jest największy wskaźnik zgonów w stosunku do liczby ludności).

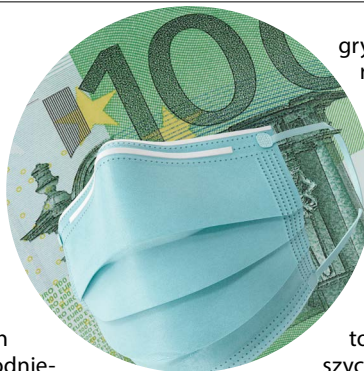
Sekretarz generalny ONZ Antonio Guterres ogłosił „wspólną historyczną inicjatywę” międzynarodowej współpracy w badaniach nad skutecznym lekiem na SARS-CoV-2. Powinien być „bezpieczny, wydajny i powszechnie dostępny”. Podkreślił zaangażowanie w badania kliniczne kilku ośrodków, głównie niemieckich i brytyjskich. Ani chińskie, ani amerykańskie nie uczestniczą w tym programie.

O sytuacji w Rosji – s. 46, o nadchodzącym kryzysie żywnościowym – s. 49, o rynku środków medycznych – s. 54, sylwetka dr. Wojciecha Pałki, pulmonologa z Nowego Jorku – s. 52.

Europożyczka na wirusa

Liderzy państw Unii nie dogadali się w sprawie pakietu pomocowego, który ma uchronić europejską gospodarkę przed koronazapadłą. Co prawda podczas czwartkowej telekonferencji zgodzili się na doraźną pomoc, która ma ruszyć w czerwcu w ramach istniejących już instrumentów, jak Europejski Mechanizm Stabilności. Ale jej kwota – ok. 500 mld euro, i to głównie w pożyczkach – nikogo nie zadowala. Szczególnie Hiszpanie i Włosi, dla których prognozy ekonomiczne są katastrofalne, liczyli na uzgodnienie mocarnego Funduszu Odbudowy. Ostatecznie postanowiono, że będzie on dopiero częścią unijnego budżetu na lata 2021–27, który w związku z tym zwiększy się z 1,2 do 2 proc. unijnego PKB.

Południowców wspiera Komisja Europejska, która ostrzega przed „asymetrycznym” wychodzeniem z koronakryzysu. Według niej jeśli nie uda się uruchomić adekwatnej pomocy, to tempo tego wychodzenia będzie uzależnione od sytuacji finansów w danym kraju. Tylko te bogatsze, które weszły w kryzys ze stosunkowo niskim zadłużeniem, będzie stać na krajowe programy pomocy dla biznesu. Komisja obawia się, że to zachwieje równymi zasadami



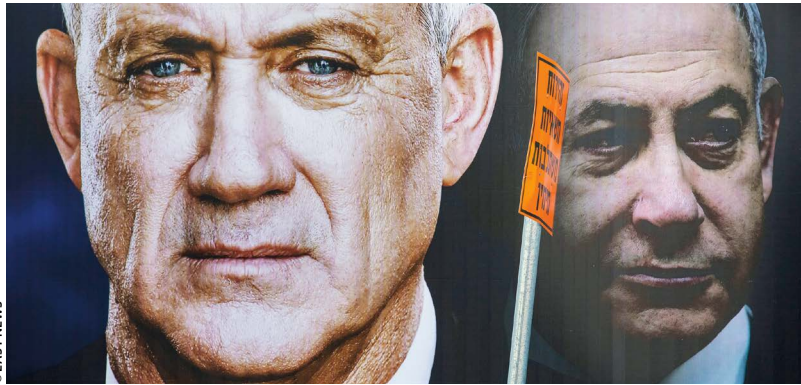
gry na wspólnym rynku. Aby zniwelować te różnice, potrzebny jest właśnie silny Fundusz Odbudowy.

Przed szczytem swoje ambitne propozycje przedstawili Hiszpanie, a później Włosi. W obu przypadkach chodziło o kwotę nawet 1,5 bln euro. I w obu te pieniądze miałyby pochodzić z emisji obligacji gwarantowanych budżetem Unii. Podobny pomysł ma Komisja, tyle że na kwotę 320 mld. Wszystko to są jednak sumy do zacytowania na pierwszych stronach gazet, a nie w realu. Unijne pieniądze miałyby być dopiero podstawą do wygenerowania ostatecznej sumy, na którą w ok. 70 proc. złożą się prywatni inwestorzy. Wielu ekspertów wątpi, czy to możliwe u progu kryzysu.

Dyskusja o Funduszu Odbudowy rozbiła się jednak nie o kwoty, bo o tym Niemcy i Skandynawowie nie chcieli rozmawiać, ale o sposób ich wydawania. Kraje Południa chciałyby grantów. Bo proponowane przez Północ pożyczki, choć bardzo nisko oprocentowane, zwiększą i tak już wysokie długi publiczne w tych krajach. Berlin nie chce słyszeć o grantach, bo przecież udzielający ich Fundusz Odbudowy sam będzie się musiał zapożyczyć, emitując obligacje. I skończy się tym, że znów zapłacą Niemcy.

Izrael ma dwóch premierów

Rząd jedności ma być sposobem na izraelski kryzys polityczny, którego nie pomogły rozwiązać trzykrotne wybory parlamentarne, za każdym razem utrzymujące rozdrobnienie w Knesecie. Liderzy dwóch zwaśnionych bloków zawarli koalicję, podzielili się resortami, na stanowisku premiera mają zmieniać się co półtora roku. Zaczyna dotychczasowy premier **Benjamin Netanjahu**, uciekający dodatkowo przed oskarżeniami o korupcję i nadużycia. Jego niewątpliwym talentem do utrzymywania się przy władzy skłania jednak do pytania, czy uszanuje ustalenia z dotychczasowym rywalem **Bennym Gancem**, zwłaszcza to o zachowaniu rotacji w szefowaniu rządowi.



© EAST NEWS

Nadal wisi ryzyko czwartych wyborów, ale przystąpienie do realizacji umowy pozwoli przejść z trybu zarządzania do rządzenia krajem. Głosować ustawy, na początek te związane z epidemią, myśleć o przyjęciu budżetu – projekty będą wymagały akceptacji Ganc i Netanjahu. Daje też mocną legitymację, m.in. do zapowiadanej na lato aneksji terytoriów na Zachodnim Brzegu. Plan jest akceptowany przez prezydenta Donalda Trumpa, ale oczywiście pogłębi konflikt z Palestyńczykami i nie spotka się z ciepłym przyjęciem w szeregu państw europejskich.

Na razie do zgody skłania koronawirus i wzajemne gwarancje zawarte w umowie, np. że ogłoszenie wcześniejszych wyborów oznacza, iż do momentu sformowania nowego gabinetu to Ganc automatycznie pozostawałby tymczasowym premierem. Wątpliwości dotyczące dobrej woli biorą się stąd, że pandemia kiedyś przeminie, kontrakty bywają zrywane albo dopisuje się do nich aneksy, a blok Ganc poszedł w rozsypkę i znacznie osłabł. Nie brakuje też obywateli skłonnych protestować na ulicach przeciwko porozumieniu i psuciu państwa, co robią w maskach i z zachowaniem wymagań dystansu.

Alpejska wyłęgarnia

Zaczęły się rozliczenia. Po sześciu tygodniach ścisłej kwarantanny odblokowano leżącą w austriackim Tyrolu dolinę Paznaun, a wraz z nią kurort narciarski Ischgl, w czasach przed wirusem zwany, z powodu nocnego imprezowego życia, alpejską Ibizą. Zimą co tydzień zmieniał się tu dziesięciotysięczny zabawowy turnus. Teraz pierwsza wiadomość, jaka dotarła ze świata, nie była miła: przeciw miastu – i władzom Tyrolu – szykuje się pozew zbiorowy. Podpisało go już ponad 5 tys. turystów, głównie z Niemiec, Holandii i krajów skandynawskich, którzy zarzucają niedopatrzenia i zlekceważenie koronawirusa. W przygotowaniu są też liczne pozwy indywidualne. A dochodzenie prowadzi prokuratura w Innsbrucku.

Przez trzy tygodnie na przełomie lutego i marca Ischgl stało się niebezpieczną wyłęgarnią. Pierwsze sygnały alarmowe dotarły z Islandii: że zachorowało 14 osób, które 28 lutego powróciły z Ischgl. W Austrii uznano, że musiały zarazić się w samolocie. 7 marca zdiagnozowano koronawirusa u kelnerki z dwupiętrowego baru Kitzloch, gdzie obsługa zwykła torować sobie drogę w tłumie, gwizdząc gwizdkami. Wymieniono kelnerów, ale nowy turnus trwał w najlepsze, aż do 13 marca, kiedy to kanclerz Kurz objął dolinę Paznaun kwarantanną. Tu wiedziano o tej decyzji wcześniej: ściągano turystów ze stoków i pospiesznie pozbywano się licznych pracowników sezonowych. W Ischgl zaraziło się 9 tys. Niemców, i przynajmniej tysiąc Austriaków i Skandynawów. Wraz z nimi wirus ruszył do Europy; np. Norwegia szacuje, że 40 proc. jej zakażeń pochodzi z Austrii.

W wydarzenia tamtych dni zostaną dokładnie wzięte pod lupę. Temat jest na tyle ważliwy, że – jak pisze „Le Monde” – wiedeńskim wirusologom zabroniono się w tej sprawie wypowiadać. I być może casus alpejskiej Ibizy nabierze rangi precedensu.

REKLAMA

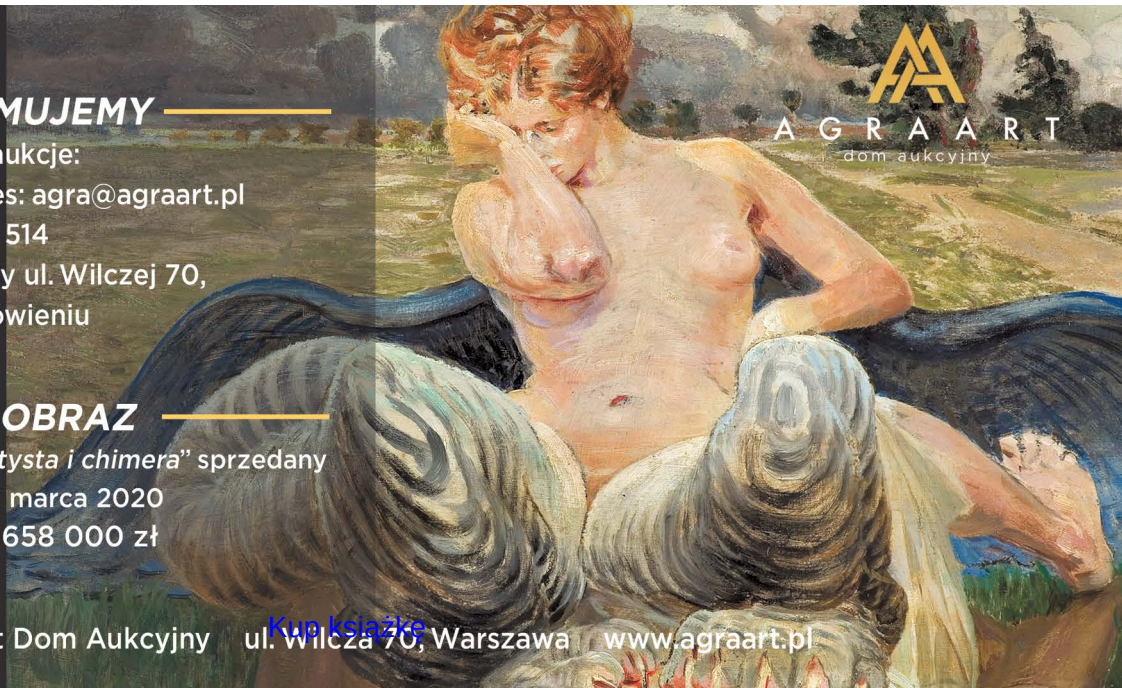
PRZYJMUJEMY

zgłoszenia obrazów na aukcje:

- oferty mailowe na adres: agra@agraart.pl
- telefonicznie: 665 400 514
- osobiście, w galerii przy ul. Wilczej 70, po wcześniejszym umówieniu

OBOK OBRAZ

Jacka Malczewskiego „Artysta i chimera” sprzedany na licytacji w Agra-Art 22 marca 2020 za rekordową kwotę 3 658 000 zł



Próba wyjścia z antywirusowych obostrzeń
zmusza do wyboru między zdrowiem obywateli,
ich wolnością i pomyślnością ekonomiczną.
Z czegoś będziemy musieli zrezygnować.

ŁUKASZ WÓJCIK

Ryzyko otwarcia



Byla sobie wioska nad rzeką. Pewnego dnia jej mieszkańcy zauważyli, że z wartkim nurtem spływają dzieci: krzyczą, machają rękami, zachłystują się wodą i toną. Większość dorosłych rzuca się na ratunek, choć dzieci jest za dużo, żeby uratować wszystkie. Niektórzy stoją i patrzą. A jeden z mieszkańców odchodzi. „Jak można być takim niehumanitarnym!” – krzyczą za nim sąsiedzi. Ten odpowiada im, że idzie w górę rzeki, aby znaleźć miejsce, gdzie dzieci weszły do wody. I zatrzymać następne.

Ta opowieść, często wykorzystywana w psychologii, ma ilustrować dylemat między rozwiązaniem docierającym do źródła problemu i tym likwidującym jego widoczne efekty. W przypadku tej epidemii źródłem była odruchowo i intuicyjnie podjęta decyzja, aby ograniczyć skalę zachorowań bez względu na koszty.

Pod koniec kwietnia ponad 4 mld ludzi jest wciąż w lockdownie, czyli żyje w systemie obostrzeń, łącznie z zakazem wychodzenia z domu, który ma zatrzymać rozprzestrzenianie się koronawirusa. Jak długo jeszcze? „Aż wirus zostanie ostatecznie pobity” – powiedział po wyjściu ze szpitala brytyjski premier Boris Johnson. Czyli kiedy? Gdy wszyscy wyzdrowieją? Do wynaleźnięcia szczepionki?

Szczepionka może być gotowa za 12 do 18 miesięcy. I to jest dziś jedyny realny horyzont czasowy pandemii. Do tego czasu wszystko zależy od krajowych obostrzeń. Gdyby ich nie było, to według Imperial College London do końca roku zaraziłby się prawie każdy mieszkaniec Ziemi, a 40 mln by umarło.

Economist Intelligence Unit twierdzi, że przy obecnych lockdownach i tak zarazi się 50 proc. globalnej populacji, 20 proc. będzie miało symptomy i do 3 proc. umrze. Najbardziej optymistyczny scenariusz Imperial College (pełne obostrożenia i ich przestrzeganie) to 2 mln ofiar. Kolejne państwa nie zamierzają jednak czekać na szczyponkę i od ponad dwóch tygodni wdrażają już lub przynajmniej zapowiadają swoje strategie wyjścia z lockdownu i kontrolowania epidemii.

Dziś liderami procesu odmrażania są Austria i Dania, gdzie już wcześniej wyraźnie zwolnił przyrost zachorowań.

Tak się składa, że są to również państwa, które jako pierwsze wprowadziły obostrzenia – zanim liczba chorych przekroczyła tysiąc. Dla porównania, francuskie i hiszpańskie władze zdecydowały się na, łagodny zresztą, lockdown, gdy liczba zachorowań znacząco przekroczyła już 10 tys. Dla epidemiologa Neila Fergusona z Imperial College wnioszek z tego porównania jest prosty: najbardziej racjonalny jest lockdown krótki, ale bardzo restrykcyjny. Ale z daniem Fergusona równie ważne jest powolne i stopniowe wychodzenie z niego.

Austria swoją strategię wyjścia przedstawiła 14 kwietnia. W miejscach publicznych wszyscy pozostają w maskach. Najpierw otwieramy małe sklepy i parki, po tygodniu – supermarkety, a później bary i restauracje. Następne w kolejności będą szkoły. Podzielenie tego procesu na małe etapy pozwoli, jak twierdzą austriackie władze, na przywrócenie obrotów w wypadku „powrotu złych liczb”. Ferguson, z którym Wiedeń

